

Biblioteka Sejmiku Śląskiego

29781

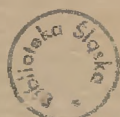
ILUSTROWANY
TYGODNIK
POLSKI
1915

12. br.

29481. 1915

III

Benck



X-83704
29481 in

R. 1 (1915)



ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI



ZESZYT 9 **KRAKÓW** 26 WRZEŚNIA

1 · 9 · 1 · 5

„ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI“

SPIS RZECZY NR. 9. Z 26. WRZEŚNIA 1915.

Z ALBUMU LEGIONÓW: Podjazd ułanów w drodze — fot. Langer.

CENA KRWI, napisał T. Dąbrowski.

ANTONI WAŚKOWSKI: ŻNIWA.

A. GROTTER: POLONIA VII. SPUSTOSZENIE.

NOWE KARTY W DZIEJACH LEGIONÓW:

Pułk VI z trzema ilustracjami, fot. z nat. —
Brześć Litewski z 5 ilustr., fot. z natury.

NA POZYCYI — z fot. pułkownika Zielińskiego.

STANISŁAW WITKIEWICZ, przez K. B.

LUCYAN RYDEL: WILNO — z trzema ilustracjami Zaulek Lidzki, Ulica Ostrobramska, drzeworyty z Muz. Czapskich, N. M. P. Ostrobramska, fot. z obrazu.

FRANCISZEK PIK: OPLACIŁO SIĘ — dokończenie.

JAN GRZYWIŃSKI: DWA NAPISY z ilustracją: Krzyż Legionów na Przełęczy Pantyrskiej.

WIERŠE ŻOŁNIERSKIE — przez Zygmunta Augustyńskiego z winietą tyt. L. Gotlieba.

LEGIONIŚCI NA KWATERZE — fot. z nat.

CENA ZESZYTU 40 HALERZY.

PRENUMERATA:

ROCZNIE: K. 20. Mk 20.— Rb. 10.

PÓŁROCZNIE: K. 10. Mk 10. Rb. 5.

KWARTALNIE: K. 5. Mk 5. Rb 2.50.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW, WOLSKA 19.

Bieliznę trykotową

oraz przybory dla c. k.
wojska i legionów
poleca

HENRYK RECHT
ul. Floryńska L. 2.

N AJTAŃSZY CHRZEŚCIJAŃSKI ZAKŁAD ZEGARMISTRZOWSKO-JUBILERSKI

JÓZEFA CYANKIEWICZA

poleca Sz. P. T. Publiczności swój skład zegarków
i zegarów oraz wszelkiej biżuterii w wielkim wyborze
po nader przystępnych cenach.

KRAKÓW, SŁAWKOWSKA L. 24
DOM XX. EMERYTÓW.

„Hotel Narodowy“

Poselska 22

poleca pokoje od 2 koron
i wżyz z światłem elek-
trycznem. — Restauracya
na miejscu.

H. ALTENBERG, G. S. SEYFARTH, E. WENDE I SKA KSIĘGARNIA WE LWOWIE

(HOTEL GEORGE'A)

Nakładem naszym opuściła prasę mapa:

Królestwo Polskie i przyległe provincye Austrii, Niemiec i Rosyi

6 sekcyi w przedziałce 1 : 750.000.

Najdokładniejsza i najwyraźniejsza mapa terenu wojen-
nego. Pierwsza typograficzna mapa ziem polskich wydana
w polskim języku. 6 sekcyi z rejestrem analfabetycznym
(4 arkusze druku) K 10.— Jako mapa ścienna na płótnie
Koron 16.— Najpiękniejsza ozdoba polskiego domu.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

DZIENNIK NARODOWY

ORGAN POLITYCZNY KRÓLESTWA POLSKIEGO

daje możność zapoznania się z tem, co
Królestwo Polskie myśli, czuje i jak działa.

Obfity dział ogłoszeniowy i informacyjny.

Prenumerata miesięczna pocztą
(listem pieniężnym) 3 K 50 h.

ADRES: Administracya „Dziennika Narodowego“
W PIOTRKOWIE, UL. BYKOWSKA L. 71.

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA IV KWARTAŁ!

W celu otrzymywania „Ilustr. Tygodnika Polskiego“ bez przerwy, prosimy po przeczytaniu tego zawiadomienia przesać prenumeratę kwartalną w kwocie Koron 5.— (Mk. 5.—) przekazem pieniężnym, do naszej
ADMINISTR.; KRAKÓW, UL. WOLSKA L. 19.

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI



PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDLA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 1 SIERPNIA 1915

NR. 1.

NASZ POSTERUNEK.

Wracają z przymusowego tułactwa polskie ptaki wędrowne, huraganem wojennym z gniazd ojczystych wyrzucone i na obczyznę zagnane, a z nimi przenosi się do kraju Ilustrowany Tygodnik Polski.

Powstał był na wychodźstwie, gdzie w niekorzystnych warunkach wywalczał sobie istnienie, ale w zbyt ciasnych ramach nie miał widoków rozwoju. Teraz inaczej: swojski grunt mając pod nogami, z dniem dzisiejszym nowy żywot zaczyna pod egidą Naczelnego Komitetu Narodowego, jako bezpartyjne pismo artystyczno-literackie, jedyne na całym obszarze ziem polskich nieobjętych rządami rosyjskimi. Obszary te zwiększają się z miesiąca na miesiąc, niemal z tygodnia na tydzień, zwycięzki miecz rozprzestrzenia je coraz bardziej, a temsamem otwiera się przed Tygodnikiem coraz szersze i rozleglejsze pole działania. Zwiększonym wymaganiom i zadaniom sprostać, nie tylko powiększając objętość pisma, lecz nadewszystko poziom jego podnosząc przez pozyskanie pierwszorzędnych sił do wspólnej pracy — to pierwszy i najbliższy cel nowej redakcji. Każda wojna — cóż dopiero ta najstraszniejsza z wszystkich jakie widział świat — upośledza chwilowo cały ruch umysłowy, podwiązuje tętna życia naukowego, literackiego i artystycznego, dając się na tych polach jeszcze dotkliwiej we znaki, niżli w innych dziedzinach pokojowej pracy, w rolnictwie czy przemyśle, rękodzielnach czy handlu. Więc też nie dziw, że od wieków utarło się równie smutne jak trafne zdanie: *inter arma silent Musae*. Trafne jednak tylko po części, boć przecie żadne tęgie i naprawdę cywilizowane społeczeństwo nie może i nie powinno powtarzaniem w kółko tej starorzymskiej maksymy, na cały czas wojny małodusznie zrzekać się umysłowego życia i rozwoju swej literatury i sztuki. Z konieczności to życie będzie mniej bogate i rozwój mniej pełny jak w czasie pokoju. Wszelako, jeśli obowiązkiem rolników i przemysłowców, kupców i rzemieślników jest wyteńczyć wszystkie siły, by w zawierusze wojennej nie dopuścić do zaniku i upadku w tych zakresach twórczości społecznej, jeśli władze szkolne od najwyższych do najniższych, nauczycielstwo, instytucje naukowe nie szczędzą trudów i zabiegów, by szkoły i cały poziom oświaty, mimo wszystko, uchronić od obniżenia i zastoju — to niemniej dziedzina literatury i sztuki ma dla każdego narodu zbyt istotne i żywotne znaczenie cywilizacyjne, by ją wolno było na cały czas wojny pozostawić odłogiem, a jej zaniedbanie zbyć lekceważącym machnięciem ręki i zużytym a tak wygodnym frazesem o „milczeniu Muz wpośród szczęku broni“.

Z pomiędzy narodów zmagających się obecnie w olbrzymich krwawych zapasach, tylko te są wewnętrznie zdrowe i duchowo tęgie, czyli zdolne zwycięstwa i godne szczęśliwszej przyszłości,

które czynem z dnia na dzień stwierdzają tę niezaprzeczoną prawdę, że podczas wojny do najwyższego napięcia powinna się wyteńczyć i spotęgować energia społeczeństwa i każdej żyjącej w niem jednostki. Nikomu i na żadnym polu bezrobocie nie może być dozwolone właśnie teraz i właśnie dlatego, że najkrzepsze i najdzielniejsze siły, powołane pod broń, przelewają krew, na tych więc, którzy pozostali w domu spada ciężar gojenia ran, kojenia klęsk, a równocześnie podtrzymywania wzmożoną pracą wszystkich dziedzin twórczości duchowej i materialnej. Toć przecie w zdrowym organizmie społecznym bezwarunkowo żadna funkcja ustać i zatrzymać się, żadna gałąź życia uschnąć i zmarnieć nie powinna.

Dlaczegożby to niewątpliwie uzasadnione przykazanie narodowe nie miało się odnosić do literatury i sztuki w tej samej mierze jak do wszystkich innych kierunków ludzkiej działalności? Czyliż te miliony ludności nie powołane do służby orężnej nie mają potrzeb umysłowych podczas wojny takich samych jak w czasie pokoju? Owszem, większych nawet; bo czyliż myśl ich skołataną ciągłą troską, targana ustawicznym niepokojem o jutro, nie ma prawa spocząć, oderwać się, choćby na chwilę, od groźnej terażniejszości, by zażyć tego ukojenia i podniesienia się ducha które daje literatura i sztuka spełniającą rzetelnie swoje posłannictwo?

Prawda, że dziś literaturze ani sztuce bardziej niż kiedykolwiek nie wolno być jałową ni błahą, a już najmniej swywołną czy chorobliwą; dostroić się im przystoi do groźnej powagi tych czasów, podnieść się do tragizmu wypadków dziejowych, krzepić serca mdlejące w bólu i zwątpieniu, budzić w nich wiarę, rozjarzać nadzieję, rozpłomieniać miłość Ojczyzny, w jej imię nawoływać do jedności i zgody ludzi, stany, stronnictwa, czcić i sławić męstwo bohaterów, co nadstawiają piersi za najświętszą sprawę, z pochylonem czołem składać wieńce na świeżych mogiłach tych, którzy za nią polegli, a chwalebne ich imiona opromieniać i podawać w niezatartą pamięć pokoleniom jeszcze niezrodzonym — jakaż to rozległa, jak zbożna i obywatelska praca dla polskich pisarzy, dla polskich artystów, w polskim piśmie. Gościnnie, szeroko otwierają się dziś podwoje naszego pisma dla każdego szczerzego talentu, dla każdej szlachetnej twórczości. Dalecy od ciasnych uprzedzeń partyjnych, do wspólnej pracy zapraszamy wszystkich polskich artystów i pisarzy i wszystkim podajemy dłoń bratnią.

Do służby obywatelskiej stajemy z piórem w rękę — pamiętni, że za naszych dni, w oczach naszych dokonywa się przewrót dziejowy o przyszłości Narodu polskiego na długo rozstrzygający. Na ten przełom czekały, z nim swoje nadzieje łączyły wszystkie pokolenia od rozbiorów; Mickiewicz wołał: „O wojnę powszechną za wolność ludów — prosimy Cię, Panie“ Wojna powszechna wyniosła sprawę polską na powierzchnię dlatego, że sprawa ta, choć pogrzebana nigdy nie przestała być żywą i niezaprzeczenie należała do przemilczanych i ukrytych, ale najgłówniejszych przyczyn światowej zawieruchy. Nie mogło być inaczej; od stu dwudziestu lat „z ksiąg żywota wyjęci“ zachowaliśmy i życie i prawo do życia i poczucie wewnętrznej jedności narodowej wbrew materialnemu podziałowi na trzy części — do innych organizmów państwowych wcieleni, jesteśmy ciągle jeszcze sami sobą.

To wszystko stawia kwestyę polską w rzędzie zasadniczych zagadnień doby dzisiejszej, które nieodzownie domagają się rozwiązania. I dlatego niemasz w Europie rządu ni państwa, któreby się z naszą sprawą nie liczyło, zajmując wobec niej stanowisko wrogie czy życzliwe, szczerze czy nieszczerze, niedopowiedziane lub wyraźne, stosownie do własnych swoich na przyszłość widoków, celów i korzyści.

Tylko my jedyni, Polacy, mielibyśmy zachować bierność i milczącą bezczynność? Nie, był obowiązek narodowy ognistymi głoskami wypisać, że naszym najpotężniejszym, jednomyślnym pragnieniem i dążeniem jest państwowość polska. Cóż jednak warte jest w dobie żelaznych czynów pragnienie i dążenie czynem niestwierdzone? Słowa przebrzmiały, jedynie czyn ma wagę i płodność w następstwa. Kto chce proklamować państwowość polską i polski sztandar przed Europą rozwijać, ten musi pod tym sztandarem postawić polskie wojsko.

Ta myśl zrodziła Legiony. One udowodniły światu, krwią przypieczętowały wolę Narodu, wyte-

żoną ku odzyskaniu państwowego bytu. Jak niegdyś po upadku Rzeczypospolitej ostatnim jej znakiem widowym i relikwią było wojsko polskie, Legiony Dąbrowskiego — tak teraz, naodwrot, pierwszym znakiem i podwaliną do wskrzeszenia naszej państwowości, musiało być w dobie wojny — wojsko, Legiony.

Gdy naszym kosztem, na naszej ziemi rozgrywają się nasze losy, nie wolno nam pozostać nieczynnym świadkiem; przystąpiliśmy do gry pod naszym własnym znakiem narodowym a stawką naszą — ta garść polskiego wojska. Jej krwi, jej strat nie bylibyśmy i tak oszczędzili w żadnym razie i na żaden sposób: ci sami Polacy, jak całe krocie innych w trzech armiach wojujących, musieliby taksamo walczyć i ginąć, tylko nie pod sztandarem Orła Białego.

Podniesienie hasła państwowości polskiej przez postawienie polskiego wojska pod polskim sztandarem, to zasługa Naczelnego Komitetu Narodowego. Że ten sztandar okrył się chwałą godną polskiego imienia — to zasługa naszych wodzów i żołnierzy.

Takie jest nasze stanowisko, które należało zaznaczyć na wstępie i które będzie podstawą naszej działalności.

Z dobrą wiarą i czystą wolą przystępujemy do spełnienia zadań, urzeczywistnienia zamiarów, któreśmy sobie tu zakreslili, widząc w tem najlepszy — na jaki nas w tej chwili stać — sposób służenia narodowej sprawie. W piśmie artystycznym i literackim nie będziemy się wdawali w polityczne swary ni waśni, ludzi myślących inaczej niż my, nie obrzucimy kamieniami ni błotem, bo nie na to występujemy, by jątrzyć, podszczuwać i dzielić, lecz na to by godzić i łagodzić, skupiać i jednoczyć wszystko co uczciwe i dzielne, a mimo to niestety częstokroć rozbieżne i niezgodne. Ale swego przekonania i zdania wstydzić się ani taić nie będziemy; bez namiętności i nienawiści, jawnie i po męsku wypowiadać je chcemy ilekroć tego zajdzie potrzeba. Zachowamy przy tem zawsze miarę i spokój, bo te najlepiej świadczą o szczerości słów i czystości zamiarów. Nie uważamy się za nieomylnych i z góry wiemy, że w niejednym zbłądzimy i potrzebować będziemy tej wyrozumiałości i tego pobłażania braterskiego, które pragniemy zawsze mieć dla drugich. Jedno tylko będzie w nas od początku do końca niemylne i niezawodne: na dnie duszy ciągle gorejąca, w każdym słowie ukryta, w każdym czynie żywa, bólem serca wykarmiona, miłość dla tego wszystkiego, co Polakowi najświętsze na ziemi, dla czego żyć mu warto i umierać gotów.

Redakcja.





POGRZEB UŁANÓW WĄSOWICZA.

— Pamiętasz duszo, pamiętasz
Obraz z chłopięcych lat...

Mały, wioskowy cmentarz,
Wysoka trawa co krok
Szemrze u twoich stóp.
Jesteś jakby na łące,
Dokoła drzewa kwitnące
Prawdziwy sad...

.....
Piętnaście tam krwawych zwłok
Rzucono w zimny grób!!

Na kres — na zgon
W żegnania chwili złej,
Po dniu mozołów
I walk i mąk,
Nie grał im dzwon
Farnych kościołów,
Jeno wicher naszych kniej,
Jeno szum naszych łąk...
Na zgon — na kres.

Nie było łez
Załamania rąk,
Ni kościelnego kiru
Po dniu mozołów...
Jeno jak łaska Boża
Zakwitła w łunach zorza,
Jeno pokłonił się w pas
Odwieczny stary las,
Jeno na znak zaklęcia

Pośród szumiącej łąki
Na jeden moment krótki
Siostrzyczki — niezabudki
Braciszki — polne dzwonki,
Chcąc swój okazać żal,
Padły sobie w objęcia.
A wśród bladego szafiru,
Gdzie opalowa dał,
Płakały chóry aniołów.

Śpij! śpij! polski ułanie,
Ojczyzny wierny synu,
Słuchaj, jak wicher łąka.
Piękności twego czynu
Nie zgryzie czasu rdza,
Nie zatrze piętno lat,
Ale w sercach zostanie
Jak bajka, jak cudna wieść
I będzie się snuć i nieść,
Duszą zdzierając smęt,
Sercom zadając lek,
Wśród dworów i wśród chat.
Opowie braciom brat,
Opowie wiekom wiek,
Jak ułan w boje szedł,
Jak ułan w boju padł.

Aż wreszcie w zimnym grobie
Za cały życia trud,
Polska się przyśni tobie,
— Twój sen i cud —
Polska zwolniona z pęt!!

Henryk Zbierzchowski.





FOZ. TAD. LANGER.

JULIUSZ KADEN BANDROWSKI: PO DRODZE.

Idziemy, idziemy — idziemy przez wielkie jeziora
młodego słońca na łąkach, przez niebieski szal cienia,
którym podpasane są świerkowe lasy, między wsiami,
z których wita nas wonność i lekkość i ściele się pod
nogi białym puchem kwitnących drzew owocowych.
Owocu, słodki owocu życia!

Idziemy, idziemy, mijając jakieś folwarki na śmierć
zaśnięte w zapachu jaśminów i bzów; po całej ziemi, jak
okiem sięgnąć leżą się złoto-białe, złoto-zielone, złoto-
cudne fale młodego zboża. A nad falą zboża płynie fala
naszego śpiewu, a w fali zboża i pieśni jednym jedynym
nurtem spływa — Ojczyzna.

Owocu, słodki owocu życia!

Z grzązkich dróg podnosi się złoty, sypki kurz i tak
jest gorąco, — tak uroczyście, jakby to wszystkich wa-
lecznych ojców sława i przeszłość na ów proch złoty
starta — towarzyszyła synom...

Idziemy, idziemy mijając zórawie studzienne i płoty
plecione odwiecznym chwytem Piasta i wrota szerokie,
jak akt pojednania... Na karabinach czeremcha, na czap-
kach jaśmin, w koszu srebrnej gardy różowy bez...
Idziemy, jak najświeższych, najprostszych kwiatów
ziemi powstanie...

Synu jedyny, owocu, słodki owocu życia!..

Znużenie się ku nam z fioletowych rowów przydro-
żnych uśmiecha ogromne, skwar mąci oczy i upija...

Nieznana przeszłość skrzy się i błyska na jasnym od-

dalach horyzontu... Mleko zimne w chropawych kub-
kach glinianych, — woda w brunatnym drzewie
konwi, — młyn taśmy strumienia marszczący, — roz-
warte objęcie twardych ramion wiatraka... Na niebie
nieustające szczęście pogody, na ziemi niestrudzony
krok marszu...

Owocu, słodki owocu życia!

Przyszliśmy na odpoczynek.

Wspaniały jakiś dwór, — teatrum świetności i dumy,
wielkie fasady szczerbem podarte i obrzucone starym,
tłustym barokiem, — związuje na węzeł wielka,
wyniosła brama. Nad nią herby dawnych panów, bez-
pańskie dziś... Nikt nie wie, kto zaczął byli i w księgach
o nich niema parafjalnych, bo spłonęły i ludzie już nie
wiedzą, drzewa zaś ręką magnatów sadzone — nie pa-
niętają.

Po bokach każdej fasady, niby pięść władna i za-
borecza — tęga kopuła, jakby w irchowej rękawicy,
kryta blachą, po której miękkim śladem szarości i zgry-
zoty snuje się śnieg.

Arjanie pono się tu kiedyś zgromadzali. Podobno Ar-
jan jeszcze pamięta chmurny łuk arkad renesansowych,
patrzący po drugiej stronie pałacu na gazon i dwa
w starym bronzie szuwarów zamknięte stawy.

Bielony, zimny korytarz... W kącie czernieje krzesło
jak kleks. Po starych kamieniach dźwięczą ostrogi
i skrzypi żwir.

Izby przepyszne, pańskie i prawie puste. W rogu, niby olbrzymia wieża szachowa, piec z gdańskich kafli. W buduarze stare fortepiano.

Na sali recepcyjnej we wielkim karle siedzi Brygadjer Piłsudski, rzekłbyś — dawny, surowy wielmoża, czy generał mohortowskich czasów. Przed nim za balaskami pałacu w zlocie powietrza i w czarach wiosennej zieleni mija niebieska kolumna i śpiew:

Jeszcze Polska nie zginęła...

A potem —: Niech żyje Piłsudski!!!

W pałacu pełno oficerów, na kamieniach przedsiönka chrzest żwiru i trzask szabel, na balkonie stoją siwe mundury, w izbie jednej i drugiej i dziesiątej dźwięczy głos ostróg...

Zaś w starej alei lipowej...

Słodki owocu życia!...

W starej alei lipowej szum i tchnienie odwieczne i blizkie... Jakby ci, co sto lat temu odeszli i ostatni dźwięk rzucili w fortepiano i meldunek tu przyjęli ostatni, — te generały w łosiowych rajtuzach, te oficerzy w ciężkich epoletach — jakby tu gdzieś zostawili niemyślny ślad, za którym idzie srogi i łaskawy Brygadjer, trzeźwą trzepiący kurz z butów na wielkim, jak Łódź, krześle...

U wrót pałacu mijają wciąż oddziały, zaś u żelaznych krat bramy stoi — ... Nie znamy cię z nazwiska a tak cię dobrze znamy z serca, — stoi siwa pani w leciech podeszłych, czarno ubrana... Rezydentka, czy właścicielka i nie wiadomo już, czy właścicielka tu, czy tylko sługa. Przez lzy zaprasza na poczęstunek, pół płacze, pół śmieje się, błogosławi, ubolewa i zachęca...

Synu jedyny, owocu! Słodki owocu życia...

Miejscowość ta nazywała się Śladków duży.

Na drugi dzień maszerujemy dalej w nieustającej radości! Nie uciekaj nieprzyjacieli, worki ci popękają po drodze, owies gubisz, złotymi paciorkami owsa ślad swój znacysz... Idziemy w kwiatach, skrzydłach, głosach, pieśniach, łagodni ludzie... Nie uciekaj nieprzyjacieli, bądźże cierpliwy, — na karabinach czeremcha...

Ha ha ha!!!

Pod wieczór przez tę wszystką nieopowiedzianą i niewyspiewaną krasę przyszlismy przed dworek malusi do agrestu i porzyczek przycupnięty. Krajem wyskubanego klombu zajechaliśmy przed cichą werandę.

We dworze małość i jakowaś pokora wielkiej cierpliwości i głębokiego wytrzymania...

Przyjęły nas dwie panie starsze wiekiem, skrętnie, wystraszone a mile ceremonialnie. Jedna z nich — ta sama co wczoraj u żelaznych balasków pałacu niebieską kolumnę piechoty błogosławiąca?..

Ta sama, co na ulicach odzyskanego Pińczowa nagle skrzyżowała ręce? Ta sama czarno ubrana, co gdzieś czeka pod Wilnem na małej stacyi kolei w chmurny dzień? Ta sama, co zbiera jakąś składkę odwieczną pod gotyckiem sklepieniem w krakowskiej ziemi?...

Ta sama, co wczoraj i kilkadziesiąt lat temu, dama siwowłosa pytała każdego z nas o nazwisko...

Dwór był jak z powieści Orzeszkowej, czy Rodziewiczówny skromny, mały dworek, który sobie przysiągł, że przetrwa...

Doczekał się nas i podjął nas najlepszym, kochanym swym stylem, — zacierki na mleku, chleb z masłem, jajka sadzone i rozmowa i szacunek...

Myśmy całe morze słomy nawalili do saloniku, hafty

i wszystkie robótkowe staranności na bok zgarnęli, bo przed oknami huczał grzmot przejazdu armat, słońce zachodziło pod niebem, jak aksamit miękkim i wicherzył się twardy okrzyk piechoty: Niech żyje Piłsudski!

Miejscowość ta nazywała się Sieczków.

Pogodo, pogodo cicha nocy i pełny nasz dniu, dobre słońce i ziemio przychylna, idziemy, idziemy, idziemy w złotym kurzu, kwiatach białych i zieloności!..

Wszystko żelaziwo skrzypi, trzeszczy i tętni a krok piechoty bije równo jak puls tej ziemi, jak serce jej żywe, jak głos sumienia tego kraju...

A o tym dworze pańskim, wymuskany i cacany, jak się nazywał pamiętać nie warto, — gdzieśmy zajechali pełni wielkiej radości, — szarże pobiegły się golić i myć pod studnię, by się damom godnie przedstawić, a damy się pochowały, jak w kiepskim pasyansie, — i nie wyszły... Panowie, niby stare nadęte fagasy za krzesłem oficerskim stały, nie chcąc kompromitować imienia przy stole. O tym dworze wspominać nie warto, gdzie siana, owsa, jadła było w bród, — a tylko serca nie.

Tylko co warto pamiętać, to że się tam pod parkanem żołnierze nasi i lud przed obrazem na śpiewy majowe zebrali. Przed świętością niewinną płynęła litania, chwiał się obraz w gałęziach i światłach, jakby zaraz w niebo miał ulecieć.

Dziewczęta klęczały obok tych, którym bitwa i śmierć była blizką...

Więc, jakby w kącie tego parkanu schroniły się i wpłynęły — wiara i siła, rycerstwo i miłość, siwe mundury i białe szmateczki chustek, śpiew, światło i zieleni wonna.

A stąd poniósł nas już krwawy wir bitwy.

Wiem, że pod złamaną tarczą księżycą w huku armat i słodkim śpiewie słowików, wyszedł gdzieś na mostek szwajcarski od połowy zniszczony i spalony. Ogród chłodził się w blaskach a u poranionych stóp mostu leżało dzikie zniszczenie i chwast.

Wiem, że gdzieś na podwórzu, stanął, widząc jak na starych malowanych saniach, pogrążonych w szemrzącej fali słomy, bawią się dzieci. Niby jasnowłose amory jadają saniami po słomie, jej żdźbła jak nici złote wiążą — a nikt przecie tych nici nie zwiąże i gdzież pojedzie ta bajka amatorów pełna i słonecznego wątku, saniami przez pola krwawe?...

Wiem, że siedł przez dwór pełen życia i wszystkiego dostatku a ruina i pożar sążone były wszystkim jego ścianom. Bateria biła tuż za oknem, a pani czarno ubrana wybierała łyżką masło na liść zielony dla uciekających dzieci.

Wiem, że minął dwór inny, — noc zapadała, a ogień i zgiełk bitwy rósł. Ludzie wszystkie rzeczy z dworu wynieśli na ogród.

W pośrodku klombu stał jakby monument żałości, czy grób. Z grobu tego lira kwitła czarna, w giętkie, rozwarte swe ramiona łapiąca gwiazdy krwawego nieba nocy.

Zoczyłem, że to jest fortepiano i lira jego pedałów. Od jasnych okienek dworu — po klombie, z szelestem trawy szła siwa dama w powłóczystej odzieży, cień swój rzucając na lirę i gwiazdy nią objęte.

Synu jedyny, owocu, słodki owocu życia!...



FOT. W. JELENIEWSKI.

BRYGADYER PIŁSUDSKI W GRUDZINACH.

Odwieczny, w krwi naszej dziedziczny związek łączy polskiego wojaka z koniem. Dziećmi wpatrywaliśmy się wszyscy z lubością w oleodruk przedstawiający śmierć Czarneckiego: stary wódz na śmiertelnej pościeli żegnał się z ulubionym rumakiem. A największa i najpiękniejsza stadnina w Polsce wyhodowana przez Juliusza Kossaka... pędzłem na papierze, ileż tam scen rycerskich, w których zamaszyste figury namiestników husarskich, petyhorców, szwoleżerów i ułanów nieodłącznie wiążą się z koniem! Nie odrodził się i w tem od dawnych polskich żołnierzy Piłsudski, jak świadczy zdjęcie dokonane w Grudzinach nad Wisłą, które — jak się czasem zdarza — uchwyciło żywcem z natury wybornie skomponowany obraz, że lepiej nie potrafiłby najtęższy artysta.

Przedwiośnie, poprzez gałęzie drzew przezierają zarysy dworskich zabudowań, z boku pod wielkiem drzewem ławeczka, ot jak zwyczajnie na dziedzińcu polskiego dworu, na tem tle doskonale związana grupa: żołnierz na tranzli trzyma u pyska dzielnego siwosza, któremu okiem znawcy przyziera się Pan Brygadyer otoczony młodymi oficerami. Stał sobie jakoś od niechcienia, głowę pochylił charakterystycznym zaduma-

nym ruchem, obie ręce wetknął w kieszenie i patrzy na to piękne, szlachetne zwierzę, jakby się namyślał: kupić, czy nie kupić. Tuż obok dziarski adjutantcik, może nie śmie wyrwać się ze swoim zdaniem, ale tenby się niedługo wahał: skoczyłby na siodło i poleciałby na siwku jak strzała, tylkoby wiosenne błoto pryskało z pod kopyt. Mimowoli przypomina się pyszny obraz Michałowskiego z Muzeum Narodowego w Krakowie: podobne oględziny konia, którego przyjezdnym sąsiadom pokazuje stary szlachcic, trzymający w garści fajkę na długim cybuchu.

Dalibóg, scena piękna, w Polsce odwiecznie się powtarzająca, tak częsta w sztuce naszej, tak charakterystyczna dla naszego życia, które tylko ze zmianą epok strojów i akcesoriów powtarza pomimo wszystko ciągle te same obrazy. I jakżeby mogło być inaczej? Toć my krew z krwi, kość z kości, tych, co na tej ziemi żyli przed nami. Przekształcają się w nas pojęcia, otwierają się przed nami nowe światy myśli, nowe królestwa ducha, lecz w gruncie temperamentem, zamiłowaniami, obyczajem jesteśmy i zostaniemy — sami sobą.

L. Ant.

OD SŁÓW DO CZYNÓW

Nikt przypuszczać nie może, by sprawa tych rozmiarów i takiej wagi, jak odbudowa całego kraju wojną zamienionego w gruzy i w perzynę dała się załatwić na poczekaniu bez dojrzałego namysłu; nikt nie powątpiewa o dobrej woli zarówno rządu, jak czynników krajowych do tego dzieła powołanych, ale stwierdzając dobre chęci jednych jak drugich, nie można zaprzeczyć, że czas płynie a rzecz wymagająca pośpiechu stoi w miejscu.

Od pamiętnego dnia, w którym wojska sprzymierzone, potężnym rozmachem zdruzgotały rosyjską linię obronną nad Dunajcem i pod Gorlicami, upływają trzy miesiące, niemal cała Galicya jest już odzyskana; czytamy co chwila o posiedzeniach i naradach, nasłuchaliśmy się dość o teoretycznych roztrząsaniach zajmujących się pytaniem, jak ma wyglądać odbudowana wieś polska, dotąd jednak całe krocie bezdomnych ludzi, a z nimi opinia publiczna społeczeństwa, napróżno oczekują, by od słów przyszło наконец do czynów. Kiedy przyjdzie — to nie jest bynajmniej obojętne: za trzy miesiące nadejdzie zima!

Położenie jest bardzo poważne, praca gdyby nawet już teraz w pełnym była toku, wymagałaby niepośledniej energii, by zdążyć na czas przed mrozami.

Już samo przygotowanie materiału, jak cegła, budulec, dachówka napotkać musi na niemałe trudności ze względu na brak sił robotniczych. Tego materiału budowlanego dowóz kolejowy, ze względu na brak wagonów i lokomotyw, także nie da się uskutecznić łatwo ani szybko, podobnie i dostawa z kolei na miejsce bu-

dowy niełatwo pójdzie wobec braku wozów i zwierząt pociagowych. A sama budowa? W teraźniejszych warunkach, gdy najkrzepsze siły całego kraju powołane są pod broń, wręcz niesłychana trudność nastęrczyć się musi przy budowlanej pracy zakrojonej na tak olbrzymie rozmiary, jakich wymaga olbrzymie spustoszenie.

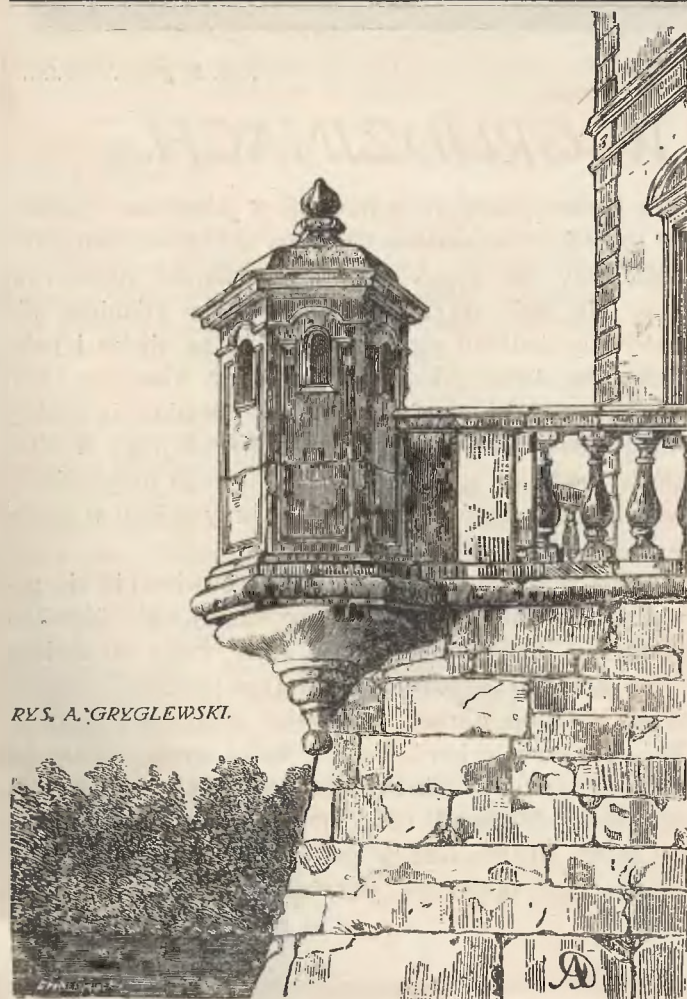
Kiedyż więc te krocie rodzin koczujących na zgłiszczach wejdą pod własny, odbudowany dach? Czy to wogóle możliwe, by dach nad głową miały przed zimą, jeśli dalej narady i posiedzenia zabierać będą czas bezpłodnie, jak zabierały go dotąd? Na słowach upływają dni, tygodnie, miesiące a sprawa najżywotniejsza trwa ciągle jeszcze w zawieszeniu. Teraz ostatnia pora, zanim nadejdzie jesień, dzień krótki, słoty, pierwsze przymrozki — wtedy będzie za późno.

Zapóźno! — to jest okropne słowo dla tych ludzi, którym wojna zniosła domy, którzy z nieopisanym wysiłkiem uprawili rolę i w deszczowne żniwa zebrali płon a plonu tego ani żywego dobytku, jeśli jaki pozostał, nie będą mieli gdzie przed mrozem i śniegiem zachronić, ani — co jeszcze gorsza — nie będą mieli kąta ciepłego na zimę dla dzieci i żony. A jeśli ojciec na wojnie, tem gorszy los czeka rodzinę; ta już chyba wręcz na zagładę będzie wydana.

„Głód, ogień, wojna, powietrze“, wszystkie klęski, o których odwrócenie ten lud się modli. spadły już nań dotychczas; niechże Bóg broni, by do błagalnej pieśni snąć nie przybyła jeszcze jedna, nigdzie dotąd niesłychana prośba:

„Od śmierci na mrozie i w śnieżnej zamieci, zachowaj nas Panie!“

Civis.

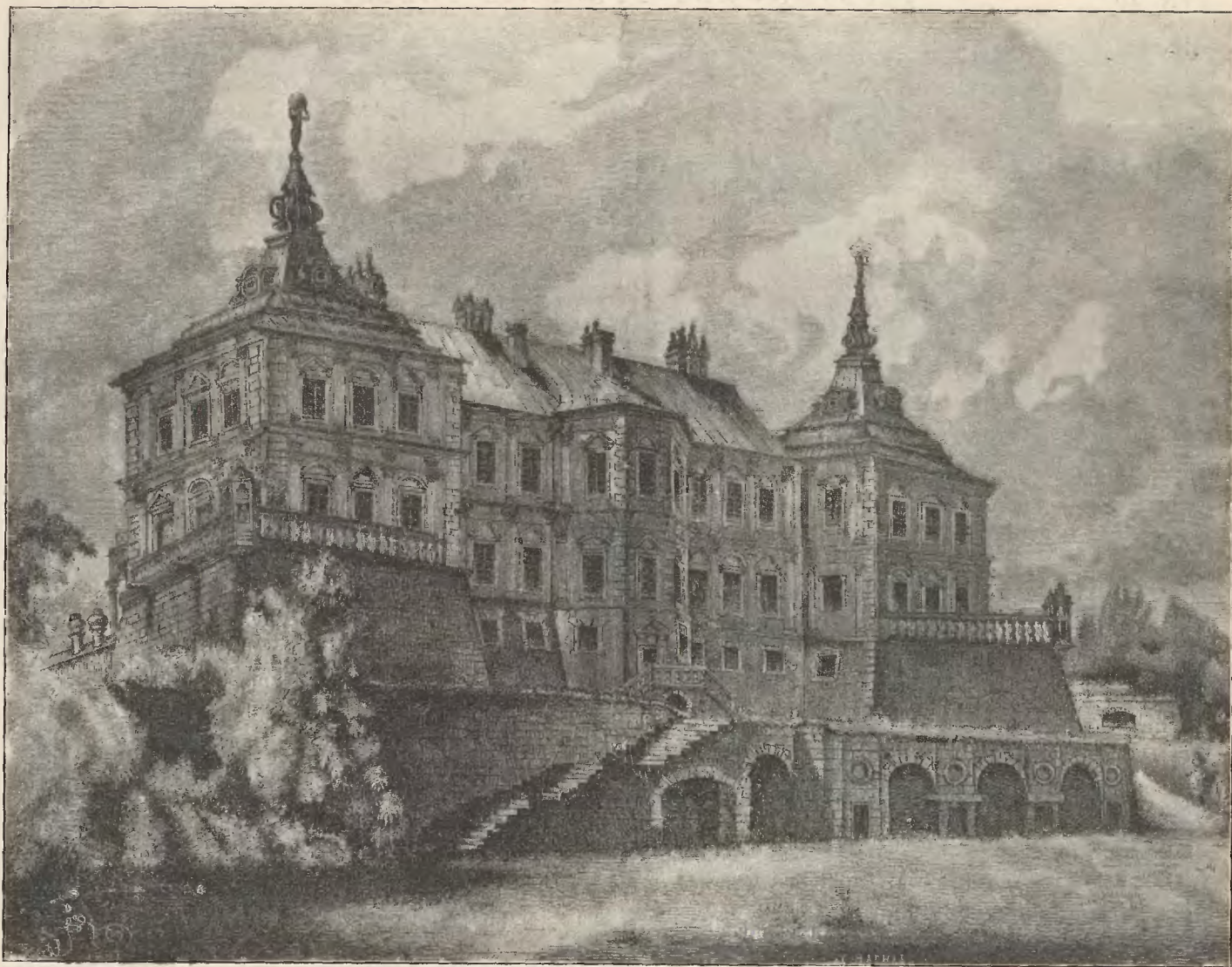


RYŚ. A. GRYGLEWSKI.

PODHORCE.

Szkoda nieodżałowana, której nic już nie zdoła naprawić: zniszczenie zamku podhoreckiego. Był jednym z niestety rzadkich a przez to nieocenionych klejnotów zabytkowych naszej kultury i naszej przeszłości; obok warszawskich Łazienek i pałacu wilanowskiego, jak tamte oba drogocenne, tem, że zachowany bez zmiany wraz z całym urządzeniem wewnętrznym.

W powiecie złoczowskim zbudowany przez Koniecpolskich, zamek w Podhorcach był godną siedzibą tego senatorskiego rodu. Stanisław, kasztelan krakowski, w podeszłych już leciech i bezdzietny, na rok przed wyprawą wiedeńską (1682) zapisał dobra swe rodzinne Zahorce i Podhorce wraz z zamkiem nieletniemu królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu. Ostatni z wielkiego rodu chciał snąć tym zapisem uczcić bohaterskiego króla. Jakób sprowadził tu z Oleska słynny stół marmurowy, na którym odbył się niegdyś chrzest króla Jana. Gdy zbłądła gwiazda Sobieskich i królewicz usuwał się z granic Rzeczypospolitej pod panowaniem Saskim, by osiąść w Olawie na Śląsku, wówczas wyprzedawał wszystkie swoje dobra w Polsce. Podhorce kupili Rzewuscy razem z całym urządzeniem, sprzętami staroświeckimi, zbrojownią, galerią obrazów, biblioteką i mnóstwem pamiątek. Rzewuscy zachowali potomnym pokoleniom tę spuściznę nieoszacowaną i na jej godne



ZAMEK W PODHORCACH.

RYŚ. JAN MATEJKO.

utrzymanie grosza nie szczędzili. Z podhoreckim zamkiem łączy się romantyczna postać jego dziedzica, słynnego Wacława Rzewuskiego, Emira Tadżul-Fehra, co przywdziawszy strój wschodni, przyjmawszy wschodni obyczaj i mowę, i tylko duszę zachowawszy polską do końca, rzadkim gościem bywał w Podhorcach a życie strawił w Arabii i w Turcyi. Od Rzewuskich przeszły Podhorce do Sanguszków.

Wojna obecna pożarła ten zabytek: podobno zamek w ruinie, a skarby jego częścią zniszczały w płomieniach, częścią zrabowane poszły tam, gdzie od rozbiórów zawleczono tyle polskich zbiorów artystycznych, bibliotek i narodowych pamiątek. L. R.



SALA ZŁOTA

RYŚ. A. GRYGLEWSKI.

LUCYAN RYDEL

PRZED OCZY TWOJE, PANIE...

Przed oczy Twoje, Panie,
Krzywdy nasze składamy,
To żywcem pogrzebanie
W czyścowych mąk otchłanie,
Ran coraz nowych szramy,

Te gwałty i uciski
Nad miarę i nad siły,
Ten ból rozpaczy bliski,
Z którym się od kołyski
Zmagamy do mogiły.

Od dziada i pradiada
Z pokoleń w pokolenia
Kłęska dziedzictwem spada,
Zniszczenie i zagłada
W cmentarz nam Polskę zmienia.

A my, w sercu i w czynie
Tej Matce wierni zawsze
I ufni, że nie zginie,
— Jak ojce — tak my ninie
W boje lecim najkrwawsze.

Płomień i miecz dokoła
Gniazda nasze wyniszcza,
Goreją miasta, sioła,
Zostaje ziemia goła
I poczerńałe zgłiszcza.

Bo my, Boże, wierzymy,
Że z tej krwawej topieli,
Którą z siebie toczymy,
Poprzez łuny i dymy
Jutrznia złota wystrzeli!

Drzew martwe sterczą maryl,
Wznosząc wśród pogorzeli
Zwęglone swe konary
Nad gruz i popiół szary...
— Gdzież ci, co dom ten mieli?!

Tam, w dali strzechy płoną,
Pożar słońce przesłania
Burych dymów oponą,
A w noc łuną czerwoną
Krwawi się do świtania.

Ziemia kulami zryta
I rowy ją podarły,
Podeptały kopyta
I krwią przesiąkły do syta
Kraj — głodem obumarły.

Ludzie chodzą jak cienie
Z przygasłemi oczyma
I są jak te kamienie,
Których skargą — milczenie:
Płacz już się ich nie ima!

Przed oczy Twoje, Panie,
Przed miłosierne oczy
Ten niemy ból niech stanie
I narodu błaganie,
Co krew za wolność toczy...



NOWE KARTY W DZIEJACH LEGIONÓW.

Już ich tylu pochłonęły mogiły, z których każda będzie — daj Boże — fundamentem pod gmach wolnej Polski i pozostanie na zawsze szansem polskiego honoru i męstwa; tylu ich stoi nieustraszenie w ogniu dział i na bagnety biegnie bez trwogi w imię najświętszej sprawy. I ci co padli i którzy walczą, przykładem bohaterskim porywają drugich: zewsząd nadlatują wieści, że pod sztandar Legionów garną się coraz nowe zastępy żądne dorównać odwagą i sławą dawniejszym hufcom.

Oto 13 lipca w Wiedniu, na zielonej murawie przed koszarami Legionów stanął czworobok siwych mundurów — to czwarta kompania wiedeńskiego Legionu, sto pięćdziesiąt nowozaciężnego żołnierza, który po złożeniu przysięgi dziś jeszcze wyruszy na pole walki. Nad nimi łopocze z wiatrem chorągiew Orła białego, dokoła tłumy ciekawie patrzące na tęgich wojaków, co stoją jak mur. Przed frontem pułkownik Kłosowski w gronie oficerów; wystąpił, przemawia zwięźle, po rycersku o znaczeniu Legionów o których „historia po wieczne czasy chlubnie wspominać będzie“. Kończy: — „Słubować teraz będziecie, że Ojczyźnie i tym którzy przy was stoją, wierni zostaniecie całym życiem“.

Po nim zabiera głos komendant placu, nadporucznik Dr Malisz:

— „Ojczyzna wolna, Polska

ten ma cel

każdy legionista w piersi swojej i wy do osiągnięcia tego celu przybyłście z daleka, niektórzy z za morza“...

Po złożeniu przysięgi, pułkownik Kłosowski raz jeszcze przemawia gorąco i kończy okrzykiem na cześć cesarza. Gdy przebrzmiały dźwięki hymnu, mówi z kolei przedstawiciel N. K. N. poseł Wysocki. Zaczyna od dawnych Legionów, „co szły walczyć przeciw najgorszemu wrogowi, lecz my o ich waleczności mieliśmy tylko zapiski historyczne, że nigdy nie cofały się przed wrogiem. Do tych laurów, które historia przekazała, przybyły teraz nowe laury. Idźcie w te szeregi, które wśród bardzo mężnych są najmężniejsze, bo chlubnie zapisały się na kartach dzisiejszej wojny. Wy macie nieść sztandar polski, który się nigdzie nie zachwiał, macie utrzymać godność narodową... Idźcie tą drogą którą dużo Legionów już przeszło. Zróbcie swym czynem to, że Polska żyć będzie. Idźcie i walczyć. Do widzenia w Warszawie!“

W uroczystości, która zakończyła się defiladą wojskową, brali udział przedstawiciele N. K. N. r. d. Dr Rosner, szef biura prezydyjalnego hr. Michałowski i poseł Dr Lisiewicz; z ramienia komisaryatu wiedeńskiego stawili się, prócz posła Wysockiego, r. d. Dr Pilat i Dr Habicht; przybył także prof. Jerzy hr. Mycielski i w. i.

Wszyscy ci goście znaleźli się popołudniu w Gospodzie Legionów na pożegnaniu dzielnych wojaków, z którymi

zasiedli do wieczerzy. Pełne ognia przemowy i pieśni narodowe chórem śpiewane przeplatały się przy stole. A tymczasem przed gospodą zgromadziły się niezliczone tłumy.

Komu w drogę temu czas — kompania staje w szeregi, obsypana kwiatami, żegnana okrzykami rzesz tysięcznych, rusza w pochód pod wodzą por. Ryłskiego. Za nimi w automobiliu jadą powoli członkowie N. K. N. Na obu chodnikach czernią się zbite masy publiczności wiedeńskiej i polskiej. Z okien sypią się kwiaty, powiewają chustki.

— „Hoch polnische Legionäre!“

— Niech żyją Legiony!

Pod ministerstwem wojny, równie jak na Praterstrasse, jeszcze żywsze, gorętsze owacye. Kompania z trudem tylko mogła się naprzód posuwać.

Na wsiadaniu do wagonów zabrzmiał hymn Jeszcze Polska nie zginęła. Na komendę: Baczność! żołnierze stają wyprężeni jak struny, oficerowie salutują, publiczność w skupieniu słucha z odkrytymi głowami. O godzinie 10:20 wieczór pociąg żegnany hucznymi okrzykami rusza... Pojechali dziarscy, promieniejący męstwem i zapalem, pojechali na bój krwawy po zwycięskie wawrzyny.



PULKOWNIK ROJA.

rys. J. JANOWSKI.

Daleko w Piotrkowskim rozgrywały się niemal równocześnie, bo nazajutrz 14 lipca, w imię tej samej idei, sceny zupełnie podobne.

Przed ganek staroświeckiego dworku w Łochyńsku pod

Piotrkowem wyszedł otoczony całym sztabem oficerskim dzielny pułkownik Roja, słynny z bojów karpaccich a przed nim stanęła tłumna deputacja przybyła z miasta z mecenasem Rudnickim na czele, niosąc dar pamiątkowy od Ligi Kobiet w Piotrkowie: amarantowy sztandar z Białym Orłem, przeznaczony dla 4 pułku Legionów, który ma wyruszyć na pole sławy. Po krótkich przemówieniach mecenas Rudnicki wręczył sztandar pułkownikowi przy dźwiękach muzyki pułkowej, która grała pieśni polskie; nad ziemią gwałtów i ucisków roztaczał skrzydła ptak srebrnopióry, znanie wolności.

Na drugi dzień już od wczesnego ranka przez ulice Piotrkowa ciągnęły oddziały wojsk w pełnej parady i roje miejscowej ludności. Kto żyw zdążał ku zamiejskim błoniom, gdzie na podwyższeniu z dala już widniał ołtarz polowy umajony kwieciami i zielenią, zdobny herbami polskimi.

Przed ołtarzem głębokie szeregi Czwartaków w szarych mundurach, z rozpostartym sztandarem wczoraj ofiarowanym pułkowi a na żartkim koniu objeżdża front wyciągniętym klusem pułkownik Roja, lew karpacki.

Honorowe miejsce u ołtarza zajmuje starszyna armii konsystującej w Piotrkowie z Excelencyą Hefellem na czele, Komenda Legionów in corpore, dalej pułkownik Grzesicki, major Ryłski, szef Departamentu Wojskowego Sikorski a z ramienia N. K. N. p. Jan Dąbski. Wokół nieprzejrzone tłumy Piotrkowian, głowa przy głowie.

Krótki raport pułkownika Roji, potem komenda: „Baczność!“ i rozpoczyna się Msza św. polowa, do której przygrywa orkiestra Czwartaków. Potem chwila wielkiej, uroczystej ciszy, słysząc tylko dźwięk dzwonek, gną się kolana, chylą się korne głowy, a wśród klęczących rzesz góruje tylko Legion w pokłonie wojskowym naprężony — a tam w głębi, przed ołtarzem w wyciągniętych rękach kapłana zwolna podnosi się biała Hostya...

Po nabożeństwie pułk sprawnie formuje się do pochodu, na czele jedzie pułkownik Roja. Defilada wśród kwiatów, które deszczem padają ze wszech stron na dziareskich Czwartaków a górą wieje sztandar amarantowy połyskujący srebrzystymi piórami Białego Orła.

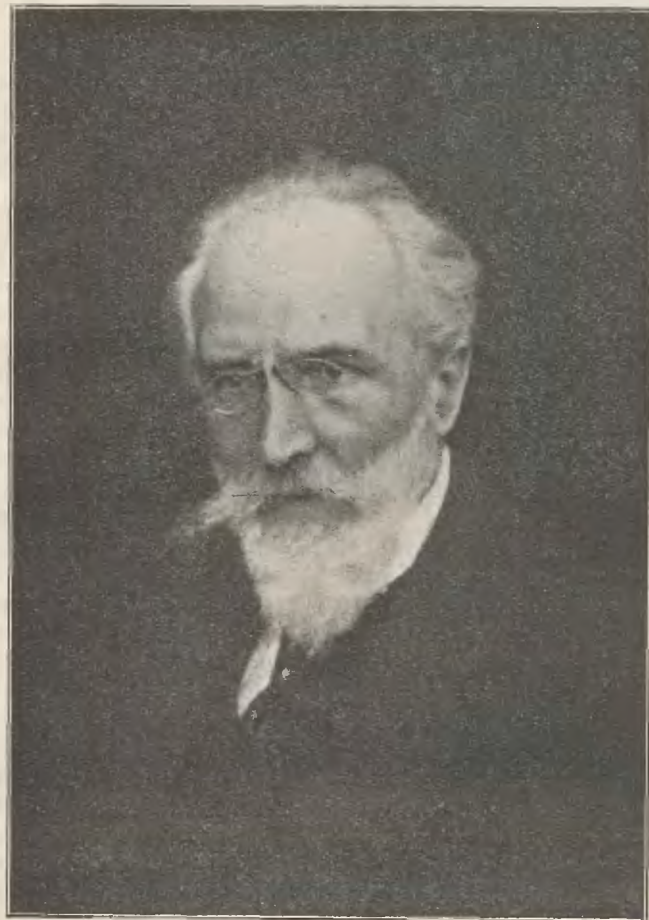
Tej samej nocy z kwiatami u czapek i gromką pieśnią na ustach odjechali na front bojowy, gdzie niebawem — jak już wiadomo — godnie przeszli chrzest krwawy.

Równocześnie nadechodzą ze Lwowa zwięzłe wiadomości, że 2000 legionistów, którzy się zgłosili zaraz po wypędzeniu Rosyan, trzema oddziałami wyruszyło już do walki. Dawny rycerski duch odżył w narodzie, rozpala serca, wciska oręż w dłoń i pcha do wielkich czynów. Sprawdzają się słowa poety:

„...wojna z Moskalami — w Polsce wielkie święto!“

Feliks M





TADEUSZ RUTOWSKI.

IUSTUM AC TENACEM...

PRAWEGO MĘŻA O NIEZŁOMNEJ DUSZY
NI TŁUSZCZA DZIKIM SZALEM ROZKIEŁZNANA,
ANI GROŹNY WZROK TYRANA
W NICZEM NIE UGNIE, HARTU W NIM NIE SKRUSZY.

WICHER NIECH WZDYMA WAŁY MORSKIEJ FALI
I WSZYSTKIE GROMY NIECH RYCZĄ NA NIEBIE,
ŚWIAT WOKOŁO NIECH SIĘ WALI,
ON, PRÓŻEN TRWOGI, W GRUZACH SIĘ ZAGRZEBIE!

.....
Horacy, ks. III. Oda 3. tłum. L. Rydel

POKAZ SZTUKI POLSKIEJ W WIEDNIU



Jeszcze jednym chlubnym dowodem tężyzny ducha polskiego, który w zmaganiu się o wolność różne przechodzi koleje — był ostatni pokaz sztuki polskiej urządzony na wychodźstwie w Wiedniu na rzecz Gospody Legionistów.

Wypadki roku 31. zostawiły nam spuściznę w arcydziełach literatury wieszczej, tragiczne wysiłki 63 r. wydały nieśmiertelne wizye Grottgera, dzisiejsze wydarzenia znaczą się w ogólnych zarysach dorobkiem na wszystkich polach życia duchowego i praktycznego. Trudno dziś o jakiś całokształt, toteż wystawa przyznać trzeba, że dała wiele wrażeń podniosłych i rzewnych. Uderzała różnaitością prac, o wartości często nierównej, ale okazała obok dzieł artystów naszych, znanych światu — także niejeden oryginalny talent świeży „młody”. Wszyscy razem, wszyscy równi... jak na wojnie.

Był więc Matejko, nasz mistrz nad mistrze, reprezentowany „Pieśnią”, był Brandt — ambasador polskiej sztuki na obczyźnie (portret arcyksięcia Ferdynanda), był pyszny Pochwański z swojemi zaklętami w płótno duszami (portret p. N.), dalej Malczewski i Fałat, Kossak i Aksentowicz, który okazał nowe pola swoich „widzeń” w „Oberku” — świetnym w barwie obrazku rodzajowym, pełnym polskiego charakteru i animuszu. Stachiewicz swoim cyklem „Quo Vadis” pozwalał na nowo przeżywać bogatą treść światowej powieści Sienkiewicza, Bratkowski przyniósł śliczny — jak to tylko on jeden potrafi — „Śnieg”. Odwiliż już na schyłku zimy, a powietrze drży nadzieją wiosny... Dalej widzimy „Indyki” Rozwadowskiego, pięknie na tle zachodniego nieba stonowane; jedna z najpiękniejszych rzeczy tego artysty — i doskonale studyum Skoczylasa („Dziad”). Uwagę zwracają ładnie szarmonizowane kwiaty Bergmana, bardzo ciekawa martwa natura Bukowskiego, oryginalnie archaizowana „Idylla” Merzla. Najobficie zaprezentował się Sonnewend, który szeregiem świeżo, z temperamentem malowanych krajobrazów prowadzi nas szlakami dawnej chwały, przed Grunwaldzkie pola aż do doliny Prutu,

przyczem jego „Kapliczkę huculską” zaliczyć można do najlepszych krajobrazów ostatniej doby. Od słonecznych, bujnych płócien tego artysty, przenosi się oko na szereg udatnych, lecz smutnych obrazków Wiercińskiego — to zdjęcie z naszego kraju... „ogniem i mieczem” zniszczonego...

Talent kobiecy reprezentuje Rychter-Janowska aktualnemi aplikacyami, przedstawiającemi „Kruki”, dalej Bukowska, Gałęzowska, Rittnerowa, Szyszyłowiczowa, Zaleska.

Z natury rzeczy najwięcej zajmują prace bezpośrednich aktorów współczesnego naszego dramatu — Legionistów lub artystów, którzy toczą się wypadki w pracach swoich przeżywają.

Na pierwszy plan wysunął się cykl „Szlakiem Legionów” Józefa Ryszkiewicza, rzewne rysunki bardzo zdolnego artysty, operującego do-

skonale barwą czarną i białą.

Pełne smutku i uczucia sceny rysowane przez tego żołnierza-Polaka robią wrażenie krótkich a niesłychanie doniosłych, zdławionym głosem wydanych raportów. Przepiękny zwłaszcza „Śpij kolego w cichym grobie”. — D. Kotowski przyniósł doskonały portret własny w stroju Legionisty i bardzo piękną „Spowiedź”, gdzie wśród towarzyszy broni kajający się przed księdzem nasz Bartek sprawia wrażenie przejmujące.

W stylu współczesnych Francuzów malowana „Martwa natura” Loreca jest silnym wyrazem obecnych czasów. Zamiast kwiatów i owoców doskonale szarmonizowane statki żołnierskie, plecaki i bagnety, które silne wywierają wrażenie. — Nad wyraz zajmujące są rysunki Knausówny, śmiało, charakterystycznie ujęte podobizny z Gospody Legionistów, przypominające techniką Kamińskiego. — Rejchan, malarz ciepłarnianych kobiet i kwiatów, rysuje obecnie podobizny wodzów i legionistów; znamieny znak czasu! Z niezliczonej ilości rysunków spoglądają twarze młode, pełne fantazyi i animuszu; czasem zadumane, tak dostojne, jakby z dawnych portretów zdjęte oblicze Piłsudskiego, kresowego kasztelana naszej Wolności!

Obficie też przedstawia się dział „amatorski”, urządzony jako „pokaz szkoły”. Obok dojrzałych prac Lubomirskiej, Turnaua i Koliszerówny widać było prace mało udolne, a nawet rysunki dzieci. Miłe te zabawki nieco razily, bo i chwila za poważna i względy pedagogiczne nakazywały schować je na inne czasy.

Echem chwili, wyraźniej jeszcze niż obrazy, były wystawione rzeźby. Zdaje się, że rozmach czasu lepiej wyraża się w rzeźbie, bo wystawiono tu prace równiejszej wartości, niektóre nawet doskonałe. — Hr. Mycielskiego bardzo piękne, czupurne a śliczne główki dziecinne i pełen wyrazu, o tajemniczym uśmiechu „Powiew”. Rzewnie ujęty „Nocleg w polu” Chodźńskiego (zmęczony legionista przyparty do konia) i pyszny jego „Stary Wiarus”. Głębokie wrażenie wywiera Popławskiego „Pierwsza Ofiara” — legio-

nista podtrzymujący jednym ramieniem rannego towarzysza, drugim mierzący z pistoletu we wroga. Drobne plastyki Kozubka — w miarę pełne grozy lub pogody momenty z życia Legionistów — nadają się do reprodukcji ceramicznej i mogłyby się znaleźć jako miła pamiątka w każdym domu polskim. Osobna wzmianka należy się pracom Blaschkego, artysty bardzo zdolnego. Szczególnie jego „Ułan polski“, rzeźba dużych rozmiarów, doskonała w ruchu i wyrazie, ma coś z niewidzialnych skrzydeł husaryi polskiej, coś z zamaszystości dawnego towarzysza pancernego. — Na zakończenie uwaga: sądzę, że dzieła te, odnoszące się do Legionów równie jak prace Skotnickiego, których tu brakło, należałoby już teraz skupić w jednym miejscu, zanim rozprósza się w rękach prywatnych lub — co gorsza — legną w niepamięci piasku w pracowniach artystów.

Jako drogie pamiątki, świadczące o twórczości wielkiej epoki, powinny się znaleźć w jakimś Muzeum narodowym, gdzieby godnie składały świadectwo obecnych wysiłków.

M. G. G.

KAZIMIERZ TETMAJER. O ŻOŁNIERZU POLSKIM 1795—1915. Oświęcim, Nakładem Naczelnego Komitetu Narodowego 1915. Odbito w Drukarni Ludowej w Krokowie.

„Było zadaniem tej pracy, krótko i najtreściwiej przedstawić Ci, żołnierzu polski, zawczasie od ławy szkolnej, lub pługa i rzemiosła oderwany — historię Twoją, Twoją tradycję wielką i świętą“.

To jest książka dla rówów strzeleckich napisana, iżby ją czytano nad Prutem i w Bessarabii, na placówkach Piotrkowskich, przy łożach rannych i na kwaterach ozdrowieńców. Wszędzie tam, gdzie, jak gość najdroższy witany bywa stary numer dziennika, gdzie skarbem marzonym i utęsknionym jest poszarpany fragment książki polskiej. Żołnierzom polskim opowiada Tetmajer ich dzieje. (Tak kiedyś Cyprian Godebski legionistom roku 1795 „Dekadę polską“ wydawał...) Stawia im przed oczy tradycję, z której błogosławieństwo płynie na siwe mundury, ale i obowiązek; przywołuje na pamięć wszystkie polskie „akty woli ku niepodległości“. Pięć tych aktów było. Wiadomo: insurekcja Kościuszkowska, legiony Dąbrowskiego, powstanie listopadowe i styczniowe, a piąty, oby ostatni, krwawi się przed naszymi oczyma.

Żołnierzom polskim opowiada Kazimierz Tetmajer ich dzieje. Czy odkrywa rzeczy nowe i nieznanne, czy sięga do dokumentów, by pracą skrzyśniętą dziejopisa wydobyć z ich trzewiów nowe dogmaty dziejowe i zgłosić nową sformułowaną konstrukcję? Chyba nie. Smutno byłoby, gdyby ta opowieść była dla nas nowością. Żywa jest w nas historia wojen polskich. Poeta uderza w struny, które drżą napięte w każdym polskim sercu, a uderzone, dźwięk dają dzisiaj stokrotnie mocniejszy i głośniejszy, niż dawały wczoraj. Ale mówią o sprawach niezapomnianych i nad wszystko wiadomych, nowem opromienianych światłem. Szara, ślicznie przez A. S. P. ozdobiona książka, rozbłyska co chwila epicką siłą opowiadania, skrzy się i pyszni świetnie dobranymi przykładami z dziejów. Już z pierwszych kart poznasz, kto tu głos zabrał: mówi wielki twórca, a jego mocne i wierzące słowo nie rozplywa się w ciekawym sentymencie, lecz raczej przypomina często warkot karabinu maszynowego. Takim słowem piszą się dzienne rozkazy, tak prawi kazania kapelan obozowy.

Nie wiele ma czasu wolnego na lekturę legionista: więc niechaj pokrótce posłucha, jaką była dola i niedola ojców — żołnierzy. Legioniści Dąbrowskiego, ulani

księcia Józefa, czwartacy, „żuawi śmierci“... „Te ładunki do nieostygłych jeszcze gotowane karabinów, te szable, stepione na szaszkach, gwerach, spisach i łbach rosyjskich: one są w lufach waszych manlicherów, one dzwonią przy waszym boku. To jest to samo“. I oto cel główny Tetmajerowego przedsięwzięcia: wykazać, że tradycja walki o niepodległość jedna jest i ta sama od lat stu dwudziestu.

Serdeczny i gorący odzew pisarza jest aktem wiary i aktem radości. Aktem wiary, bo na podstawie obfitych faktów i przypomnień udowadnia, że „żaden czyn nie poszedł na marne“. Nie poszedł nigdy dotąd, nie pójdzie i dziś! Aktem radości jest także ta praca dlatego, że może „pisać nową, tętniącą, lejącą krew, lecz orlemy skrzydłami wezbraną w niebo wysokie historię Polskiego Żołnierza“.

A żołnierz polski dni naszych czytać może karty opowieści spokojnie i patrzeć bez lęku w twarz bohaterów, których mu przed oczy przywołuje ta książka. To, co do legionistów swoich pisał generał Dąbrowski, do niego się także odnosi, i owo przedziwne orędzie Tadeusza Kościuszki „zdrowie i braterstwo braciom i kolegom zasylającym“ do siebie mu także zastosować wolno, wszak-ci tak samo w nadziejach najwyższych krew przelewa! Na sąd dziejowy gdy staną nasi legioniści i gdy ich historia wojen polskich wezwie do apelu, wtedy się ich także nie powstydi ks. Józef, honoru polskiego niezłomny strażnik, i kroku dotrzymają wszystkim, co w przeszłości naszej było wielkie i nieustraszone!

Tej wiary niech jak najwięcej rozszerzy po rowach strzeleckich książka Tetmajera!

St. Wasylewski.

K. ŁEPKOWSKI: SZLAKIEM LEGIONÓW

1914 — 1915 z ilustracjami Józefa Świerysza Ryszkiewicza. We Wiedniu, 1915 nakładem Stanisława Libelta.

Niewielki tomik wierszy, podpisany nazwiskiem w literaturze poetyckiej zupełnie nieznanem. Sporo udatnych ilustracji J. Ś. Ryszkiewicza, niektóre bardzo ładne. Książka wydana poważnie z dobrym smakiem i widoczną starannością.

A same wiersze? — Czytajmy:

Widzę was, widzę — moi synowie!
Gdzieś tam na polach, w jesiennej głuszy,
Chłodny deszcz strugą spływa w dąbrowie,
A ja was widzę oczyma duszy,
Zwartych szeregów śledzę kolumny
I dumny jestem — z mych synów dumny!

Słyszę pobudki głosy ostatnie,
Wiatr je po szarym niesie ugorze
A potem krótkie strzały armatnie,
A potem: naprzód!... Więc w imię Boże
Na chrzest ogniowy w ojczyźnej sprawie
Ja moim synom dziś błogosławie!

Który tam pierwszy biegnie z rozkazem
Pośród bagnietów, kul i szrapneli,
Który tam pierwszy?.. To obaj razem
Wpadli i szturmem okopy wzięli,
I teraz ufni w moc własnej siły,
Wierzą, że Polska ustanie z mogiły!

Szczere, proste słowa, z pod serca polskiego i ojcowskiego dobyte; czytając, ma się wrażenie, jakby się słyszało głos męski tajonem wzruszeniem nabrzmiały. To wzruszenie serdeczne udziela się czytelnikowi może

właśnie dlatego, że autor o czytelniku wcale nie myślał ani się nie silił, by go wzruszyć. Poprostu pisał co czuł, a że czuł mocno, głęboko, więc napisał dobrze i pięknie. A ten wiersz nie jest w książce wyjątkowy, z pomiędzy innych na pokaz wybrany; taki jak ten są wszystkie niemal, chociaż każdy tonem, barwą, nastrojem odmienny.

Co zadziwia, to forma literacka tak pewna, płynna i swobodna, że prawie nie chce się wierzyć, iż ten tom wyjść mógł z pod ręki nie zaprawionej do władania wierszem. Nigdzie nie znać borykania się trudnościami słowa i rymu ni rytmu, które u nowożeńców literackich na każdym kroku zwykły pętać polot myśli, krępować wyraz uczucia i czytelnikowi pozostawiać wrażenie artystycznej niezdarności i niedoświadczenia. Tu braku literackiej wymowy nikt się nie dopatrzy. Zjawy „widziane oczyma duszy“ narzucały się z taką wyrazistością, że słowa, porównania, obrazy samorzutnie rodziły się pod piórem a rozedrgane uczucie składało się samo w dźwięczne melodie wierszowe i popłynęły pieśni jak z oczu płyną łzy, jak z rany krew.

Wielka dziejowa chwila, wstrząsająca ludźmi do głębi, wydobywa z nich nieprzewidziane i niespodziewane wartości, które tkwiły nieświadomie gdzieś na dnie ich istoty. Oto z synów, młodzików niezdolnych jeszcze poważnie i samoistnie patrzeć na życie, nagle, pod hasłem walki za Ojczyznę, wyrosli nieustraszeni żołnierze, spozierający niezmrużonem okiem w oblicze śmierci a w ich ojcu, człowieku, który prawdopodobnie o wszystkim innym raczej myślał niż o poezji, zbudził się poeta.

L. R.

DR. MAURZYCY STRASZEWSKI. „DIE POLNISCHE FRAGE“
Wiedeń 1915 r. Nakładem Naczelnego Komitetu Narodowego“

Od chwili wybuchu wojny ukazało się mnóstwo niemieckich broszur i książek, pisanych przez Polaków, o kwestyi polskiej. Wydawnictwa te powstały w celu informowania opinii niemieckiej o kwestyi polskiej i wpływania poniekąd na decydujące sfery niemieckie, aby po wojnie uczyniły zadość nadziejom i życzeniom Polaków. Do tego rodzaju wydawnictw zaliczyć należy również ostatnią broszurę prof. dra Straszeńskiego „Die polnische Frage“.

Dr Straszeński niezwykle zwięźle przedstawia następstwa podziału Polski między trzy sąsiednie państwa. Twierdzi, iż wskutek tego kroku politycznego powstało wielkie niebezpieczeństwo dla Europy a to przez zbliżenie się Rosyi, państwa na pół azjatyckiego do krajów zachodnio-europejskich. W pierwszym rządzie Rosya stała się groźnym sąsiadem Prus i Austrii.

Następnie autor przedstawia ukształtowanie się stosunków polskich we wszystkich trzech państwach a więc w Austrii, Prusach i Rosyi.

Te trzy państwa zupełnie odmiennie zapatrywały się na sprawę polską. W Prusach, za Bismarka, kwestya polska była zarazem kwestyą europejską. Kwestya polska dla Bismarka przedstawiała się jako największe niebezpieczeństwo i kanclerz czynił wszystko, byle tylko sprawą polską nie zajęła się Europa. Bismark—jak sam twierdził, — nie chciał Polaków pozbawiać ich narodowości, pragnął natomiast, odjąć im możność polonizowania sąsiednich krajów nieczysto-niemie-

ckich. Po ustąpieniu Bismarka sprawę polską rząd niemiecki uważał jako swą wewnętrzną a przez germanizowanie kraju i kolonizowanie starał się zmniejszyć procent Polaków. Germanizacya nie osiągnęła celu, natomiast Polacy, tak szlachta jak i lud zespolili się bardziej dla ochrony przed germanizacyą.

Obeenie, w wojnie Niemiec z Rosyą, przekonali się Niemcy, iż wszystkie te zarządzenia nie miały racyi bytu, gdyż Polacy stanęli po stronie austro-niemieckiej przeciw Rosyi.

Rosya postanowiła Polskę wykreślić zupełnie z Europy. Wszelkimi sposobami, tak szkołą, kościołem jak i urzędem starała się zrusyfikować kraj. Jednak wszystkie prześladowania, nie odniosły swego celu.

Inaczej zupełnie rozwiązała kwestyę polską monarchia habsburska. W chwili, gdy w Rosyi rozpoczęło się bezwzględne prześladowanie Polaków, Austria postanowiła oprzeć się na Polakach, dając im zupełną swobodę rozwoju politycznego i kulturalnego. Autor podaje powody, dla czego Polacy uzyskali autonomię i twierdzi, że z biegiem czasu polska partya parlamentarna stała się niezbędnym czynnikiem polityki wewnętrznej Austrii.

W końcowym rozdziale broszury dr. Straszeński zadaje pytanie „co się stanie z polskimi krajami po wojnie, zwycięskiej dla oręża austro-niemieckiego?“

Dr. Straszeński przyjmuje trzy możliwe sposoby rozwiązania kwestyi polskiej:

1. Odebrane prowincye Rosyi, zostaną podzielone między zwycięskie mocarstwa. Nastąpi więc nowy podział Polski.

2. Z odebranych Rosyi ziem polskich powstanie niepodległe państwo pod Hohenzollernami lub Habsburgami.

3. Odebrane prowincye Rosyi zostaną połączone z Galicyą w jeden organizm państwowy w ramach monarchii austro-węgierskiej.

Są to — jak twierdzi dr. Straszeński — trzy jedynie możliwe sposoby rozwiązania sprawy polskiej. Każdy z tych trzech sposobów dr. Straszeński omawia kolejno i sądzi, że pierwszy sposób byłby bardzo niebezpieczny dla trzech stron interesowanych, dalej, iż rozwiązanie to, według hr. Andrassego, przyniosłoby Polakom, którzy ponieśli tak ciężkie ofiary, wielkie rozczarowanie.

Drugi sposób, a więc stworzenie państwa bufforowego również nie zabezpieczyłoby pokoju w Europie. Polacy mieliby bowiem trzy zupełnie odmiennie oryentacye polityczne i stanowiliby podatny grunt pod agitacyę Rosyi.

Jedynym więc i najodpowiedniejszym rozwiązaniem kwestyi polskiej jest połączenie zajętych krajów z Galicyą w ramach monarchii habsburskiej. Przez takie rozwiązanie zyskałoby i państwo austriackie, gdyż granice byłyby bardziej zabezpieczone od Rosyi, nadto Austria pozyskałaby kilka milionów tegiego żołnierza.

Również i dla Niemiec rozwiązanie to byłoby najlepszym. Austria bowiem po wojnie zawrze ścisłe przymierze z Niemcami a w przymierze to wciągnięci będą i Polacy, którzy poniekąd zabezpieczą państwo niemieckie przed jej groźnym sąsiadem wschodnim.

W. S.



NA ZDOBYCIE WARSZAWY

Sppełniło się, dokonało. Nagle przyszło jak oślepiająca błyskawica. W jej blasku wzrok olśniony widzi tylko, jak palec Boży obraca kartę w księdze polskich dziejów... I głos na całą Polskę leci, od końca do końca roznosi wieść ogromną. Gdzie przeleciał, tam za nim zrywa się spiżowy tentent wszystkich dzwonów i serc wszystkich przyspieszone bicie...

Leci z wieścią nad kraj spustoszony, ponad rozkopane pola, gdzie gęsto bieleją małe krzyżyki wetknięte w garby zielonych mogił, — i nad zgłiszczami się niesie, nad popieliskami wiosek i miast, potrąca o czarne, sterczące kominy, płynie powietrzem przesiąkniętem jeszcze zgorzelizną...

I głosi wieść: Warszawa zdobyta!

Nad bory ciemne leci, potrzaskane kulami, jak na strunach, gra na druzgotanych pniach, w konarach połamanych szumi... Skrzydły orlemi z wichrem uderza o granitowy pancerz Tatr — i odbity, wraca ku dolinom głosić im wieść: — Warszawa, Warszawa zdobyta!

Głosowi temu i wieści tej odgrzmiał brązowym sercem Zygmunt na wieży wawelskiej. W sarkofagach drgnęły pod marmurem kości Królów i ku załomom katedralnych sklepień echem z zaświatów jedno jedyne wionęło imię: — Warszawo!

W piersiach ludzkich zadrżały serca wezbrane i ozwało się z dygocących ust jedno imię — jedyne: Warszawo!

Dźwięk imienia tego napęłnia dziś w Polsce kościoły Boga i ściany ludzkich domów, groby umarłych i serca żywych... O tej Matce umiłowanej chciałyby mówić synowskie wargi, a w rozrzewnieniu słowa znaleźć nie umieją i w gardle ściśniętem więzgnie wszelki dźwięk. Ale na dnie dusz jest jakby krzyk ogromny, który mało piersi nie rozsadzi,

*Jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata
Natura ducha w kościach jako ptaszek lata,
Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać płacz serdeczny i śmiech i mimowolny...*

J. Słowacki.

5 sierpnia 1915.

REDAKCJA.

WARSZAWO!

Warszawo! Minął od tej chwili wiek,
Kiedy Narodu zamknęła się trumna,
Co roku nowy przybijano ćwiek,
Co roku nowa padała kolumna
Z gmachu, co w gruzy przed stuleciem legł.
Lecz Ty, jak wdowa królewska i dumna
Trwałaś, chowając Ojczyzny testament
I maską śmiechu łzy kryłaś i lament.

Modlitwa z moich nie schodziła warg,
Gdym słuchał kiedyś, jak cicho szeleści
W nocnych godzinach Łazienkowski park
O dawnych czasach słodkie opowieści...
I w plusku Wisły pełnym niemych skarg
Dopatrywałem się tajemnej treści;
W Starego Miasta ponurych zaułkach
Drzemała cudna baśń... o polskich pułkach!

Warszawo, dziejów już zahuczał dzwon
I zbrojne mieczem podniosły się pięście,
Ruszyły hufce na chwałę lub zgon
Za wolność Twoją, za Ojczyzny szczęście...
To marsz Legionów — a tej pieśni ton
Płynie ku Tobie w srebrnych skrzydłach chrząstki
I światło znowu świta w oczach ślepych,
Marzy się dawna wspaniałość i przepych.

O Tobie śnili w swych chłopięcych snach,
W marzeń rozkosznej po gwiazdach gonitwie
Błyszczałaś złota w brylantowych skrach;
— Twe święte imię szepcą dziś w modlitwie,
Kiedy im w oczy zajrzy śmierci strach,
Przez twarde znoje i w najsroźszej bitwie
Imię Twe święte do zwycięstw ich wiedzie,
Jak sztandar jasny wiejący na przedzie.

W Twe imię lecą na zgon i na krew
— Bądź pozdrowiona Królewska Stolicu! —
I gna ich naprzód za Twe krzywdy gniew,
Gna ich zuchwalstwo z otwartą przyłbicą...
I już niejeden, co bił się jak lew,
Upadł strzaskany burzy błyskawicą;
Lecz mu nie była gorzka śmierci męka,
Gdy czuł, że serce dla Ciebie w nim pęka!

Dla niego kończy się wojenny trud,
Ma ziemię polską za śmiertelne łoże...
Wkrąg pachną łąki, kwiecie wszędzie w bród,
Falują kłosa jak wezbrane morze,
A jemu śni się wieżyc Twoich cud,
Na których krwawią się wieczorne zorze...
Warszawo! Matko! Z synów Twych najszczerzi
Za wolność Twoją nadstawiają piersi...

H. Z.

